

## Dariusz Karłowicz: Niezgoda na amnezję

Dlaczego Muzeum Powstania Warszawskiego, i to muzeum stworzone z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego, zyskało nieoczekiwane poparcie ze strony środowisk, które dotąd alergicznie reagowały na wszelkie próby hołdu wobec bohaterów polskiej tradycji niepodległościowej? Należę do tych, którzy bardzo cieszą się z tej ewolucji. Co się za nią kryje? Czy jest chwilową koniunkturą, czy wyrazem trwalszej metamorfozy kształtu polskiego forum? – pytał Dariusz Karłowicz w książce „Polska jako Jason Bourne”, wydanej przed dwoma laty przez Teologię Polityczną.

Darmo w mediach szukać dziś napastliwych czy choćby sceptycznych w tonie tekstów, które towarzyszyły obchodom Powstania Warszawskiego dziesięć lat temu (niniejszy artykuł ukazał się po raz pierwszy w 2004 roku – red.). „Gazeta Wyborcza” nie kontynuuje wątku haniebnego antysemityzmu powstańców, który ze swadą demaskował wtedy Michał Cichy. Media nie podejmują ani rytualnego sporu o sens powstania, ani dyskusji o racjach dowództwa – nikt nie wspomina o fatalnej „kulturze klęski” czy romantycznym oszołomieniu. Sensu powstańczej walki bronią dziś osoby, które nie straciły dotąd żadnej okazji, by wydobyć mroczne strony narodowych świętości. Wydaje się, że wierny sobie pozostał tylko Jerzy Urban pisząc, że Muzeum Powstania powinno zostać zastąpione przez muzeum głupoty. Nawet jego najbliżsi przyjaciele wyraźnie zmienili front.

Co się stało? Dlaczego media, które wczoraj dostawały apopleksji na słowo „bohater” czy „niepodległość”, prześcigają się w wyrazach życzliwości i szacunku wobec powstańców? Dlaczego Muzeum Powstania Warszawskiego, i to muzeum stworzone z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego, zyskało nieoczekiwane poparcie ze strony środowisk, które dotąd alergicznie reagowały na wszelkie próby hołdu wobec bohaterów polskiej tradycji niepodległościowej? Należę do tych, którzy bardzo cieszą się z tej ewolucji. Co się za nią kryje? Czy jest chwilową koniunkturą, czy wyrazem trwalszej metamorfozy kształtu polskiego forum?

## **Zmiana tonu**

Zacznijmy od tego, że zmiana nastąpiła całkiem niedawno. Jeszcze cztery lata temu wszystko było jak zawsze. Żeby nie być gołosłownym. W 2000 roku to samo, z grubsza, środowisko, które wokół Muzeum Powstania skupił dziś pełnomocnik prezydenta Jan Ołdakowski, zorganizowało wystawę „Bohaterowie naszej wolności”. Jeśli warto wrócić do tej historii, to dlatego, że pokazuje charakter i skalę zmian, które zaszły w tak krótkim czasie. Z okazji 11 listopada w Zamku Królewskim, pod patronatem ministra Kazimierza Ujazdowskiego pokazano kilkanaście portretów żyjących bohaterów polskich walk zbrojnych, od wojny polsko-bolszewickiej, aż po Żołnierzy Wyklętych. Zdjęcia (świetne portrety Wojciecha Wieteski) opatrzone lapidarnymi biogramami i opowiedzianymi przez tych wspaniałych ludzi historiami o sytuacjach, w których świadomie ryzykowali życie za ojczyznę. Wystawę zapowiadały plakaty, na których umieszczono pytanie: „Poświęcić życie za ojczyznę?”.

*W sporze o kształt  
patriotyzmu, żadnej ze stron  
nie brakuje poważnych racji*

„Choć wydawało się,  
że nikt temu  
projektowi nie może  
niczego zarzucić” –  
pisał na łamach  
„Nowego Państwa”

Bronisław Wildstein – „twórcy wystawy osiągnęli coś, o czym śnią tabuny dzisiejszych skandalistów – udało się wywołać skandal. Prasa polska zawrzała”. Wildstein nie przesadzał. Wydarzenie komentowały i relacjonowały wszystkie bez mała stacje, rozgłośnie i tytuły. Ton wyraźnie odbiegał od dzisiejszego, łącząc zresztą krytyków w zaskakujące koalicje. „Ożywianie militarne patriotyzmu przypomina nieco zabiegi wokół Frankenstein’a” – pisała na pierwszej stronie „Tygodnika Powszechnego” Magdalena Środa, zarzucając przedsięwzięciu hollywoodzkość, a jej twórcom dekadencję (sic!). Troskę o patriotyzm minimalny (versus militarny) podzielał również, jak zwykle bez reszty oddany kwestiom etyki publicznej Piotr Gadzinowski na łamach „Nie”. Nawet pełnemu umiaru Andrzejowi Osęce plakaty z Rysiówną i Bardzyńskim kojarzyły się wyłącznie z koszmarem stalinowskiej propagandy. W radiowej Trójce w audycji emitowanej w związku z otwarciem wystawy doktorant z Wydziału Filozofii UW przekonywał jednego z organizatorów, że chodzenie z dziećmi pod pomnik Małego Powstańca jest świadectwem – jak się wyraził – narodowej nekrofilii. Powiemy – to wyjątkowy cymbał. Zgoda. Nie zamierzam wrzucać wszystkich obiekcji do jednego worka. Chodzi jedynie o ton niedawnej przecież dyskusji.

W sporze o kształt patriotyzmu, sporze, który toczy się nie od wczoraj, żadnej ze stron nie brakuje poważnych racji. Nie zamierzam nikogo dyskredytować. Idzie nie o racje, lecz o zaskakującą zmianę klimatu.

Gdzie dzisiaj podzieli się wczorajsi krytycy? „Polityka” nie szydzi ani nie potępia. „Tygodnik Powszechny” wydał nawet specjalny dodatek o powstaniu. „Gazeta Wyborcza” pęka od relacji, reportaży, wkładek. Co z dramatycznym ryzykiem patriotyzmu militarystycznego? Dlaczego plakatowa akcja „Czy ty poszedłbyś do Powstania” nikomu nie kojarzy się z Bierutem i Stalinem? Czy mniej potrzeba nam dziś cnót gospodarczych? Czy wspomnianie młodych powstańców nie jest już dzisiaj nekrofilia?

## **Nie tylko marketing**

Ważną przyczyną zmiany jest z pewnością coraz bardziej konkurencyjny i profesjonalny rynek mediów. Ludzie nie lubią mentorskiego tonu i pouczania, a media chcące utrzymać się na powierzchni muszą dziś pilniej wsłuchiwać się w opinie swoich odbiorców. Pogarda wobec tego, co dla nich święte czy choćby ważne, może skończyć się utratą czytelników czy widzów – a za to akcjonariusze mogą wyrzucić z pracy. Media stały się bardziej zawodowe i mniej rewolucyjne. Mają ściśle zdefiniowany format: informują, służą i walczą o klienta. A temat, któremu powstające Muzeum Powstania i zorganizowane przez prezydenta Warszawy obchody nadały taki rozmach, to dla mediów świetny towar. Więc tym towarem – niezależnie od własnych poglądów – zapełnia się łamy.

Stało się jednak coś, co przekracza wymiar zjawiska czysto medialnego. Choć nie ma jeszcze podstaw do żadnych solidnych uogólnień, to w oczy rzuca się zmiana klimatu społecznego. We wtorkowej „Rzeczpospolitej” socjolog profesor Kazimierz Krzystek mówi nawet o zmianie kulturowej. Choć brzmi to dość tajemniczo, sugeruje przecież

*Przejęci liberalnym językiem  
neofici modernizacji uważali  
polską tradycję wolności za  
sprawę wstydlivych  
sentymentów*

jakąś fundamentalną ewolucję. Niełatwo ją jeszcze opisać. Z pewnością jednak widać, że to, co się dzieje, nie daje się zredukować do skutków najsprawniejszego

nawet marketingu politycznego. Obok działań inspirowanych przez twórców muzeum obchody rocznicy powstania to również ogromna liczba inicjatyw całkowicie spontanicznych. Ich symbol stanowić może całkowicie prywatna akcja plakatowa „Umierali w słońcu”, zorganizowana przez grupę przyjaciół ze środowisk biznesu, którzy ją bez niczyjej inspiracji wymyślili i za własne pieniądze zrealizowali (sami rozklejając plakaty).

Co się zatem stało? Komentując rzecz na gorąco można, jak sądzę, wskazać dwa rodzaje przyczyn tego stanu – zewnętrzne, których doskonały symbol stanowi Erika Steinbach, i wewnętrzne, które wiążą się z coraz wyraźniejszą erozją aksjologicznego projektu, na którym zbudowano fundamenty III RP.

## **Zaniedbana historia**

Czy aż tyle zawdzięczamy Ericie Steinbach? Cóż, tacy nauczyciele, jacy uczniowie. Szefowa Związku Wypędzonych stała się mimowolnym symbolem lekcji mówiącej, że nie jesteśmy samotną wyspą, że polskie porachunki z przeszłością mają również swoje międzynarodowe

audytorium. Więcej – dzięki idei Centrum przeciw Wypędzeniom w Berlinie czy niedawnym berlińskim obchodom Powstania Warszawskiego – nawet najmniej pojętni odkryli, że polityka historyczna stanowi niezwykle istotny element polityki międzynarodowej.

*Nawet ci, którzy jeszcze wczoraj uważali, że polityka daje się zredukować do ekonomii, widzą, że jednopunktowa inflacja nie pomoże tym, którzy kojarzeni są głównie z „polskimi obozami koncentracyjnymi”*

Lekcja jest bolesna, lecz z pewnością skuteczna. Nawet ci, którzy jeszcze wczoraj uważali, że polityka daje się zredukować do ekonomii, widzą, że jednopunktowa inflacja nie pomoże tym, którzy kojarzeni są głównie z

„polskimi obozami koncentracyjnymi”, szmalcownikami, antysemityzmem i katolicką (rzecz jasna) ciemnotą. Dziś widać bardzo wyraźnie zaniedbania piętnastu lat całkowitego braku polityki historycznej. Tradycja polskiej wolności, „Solidarność”, polski wkład w zjednoczenie Europy są właściwie nieznane. Przejęci liberalnym językiem neofici modernizacji uważali ją za sprawę wstydlivych sentymentów. Nie było chętnych do budowy Muzeum Solidarności – za to wielu do przeproszenia za nią (niestety również na międzynarodowym forum). Dzięki temu w zbiorowej pamięci Europy symbolem jej zjednoczenia staje się upadek muru berlińskiego (którego rocznicę obchodzono z ogromnym rozmachem), a nie Stocznia Gdańska. Czy to ma znaczenie? A czy nie historia stała za redukcją polskiego długu? Czy nie historia pozwoliła nam wejść do NATO?

Stając się podmiotem gry międzynarodowej zaczynamy dostrzegać i rozumieć, dlaczego rządy europejskie (znakomity przykład to Niemcy) przywiązują tak ogromną wagę do kształtu wspólnej pamięci, dlaczego wydają tak ogromne sumy na politykę historyczną. Szkoda, że trzeba było czekać tak długo. Ale lepiej późno niż wcale.

Spytajmy na wszelki wypadek, czy nie kryje się tu założenie, że w imię międzynarodowych interesów trzeba unikać prawdy? Że marketing polityczny wziąć powinien górę nad surowym rachunkiem sumienia? Nic podobnego! Idzie o odzyskanie proporcji, pozwalających nie otwierać obchodów półwiecza powstania – którego pamięć była prześladowana i niszczona – ogromnym tekstem o antysemityzmie powstańców. Idzie o umiar, o zdolność do wdzięczności tym, którzy ponieśli ofiary, i solidarność wobec swoich umarłych. Idzie wreszcie o pozytywną artykulację tożsamości, która daje szansę, by zrozumieć siebie, a innym pozwala zrozumieć, kto jest ich partnerem i co reprezentuje.

### **Szansa na pojednanie?**

Druga przyczyna widocznych dzisiaj zmian kryje się w wyczerpywaniu się okrągłostołowego modelu tożsamości, a ściślej – pewnego projektu pojednania narodowego. Ważnym powodem niechęci wobec tradycji niepodległościowej był przez ostatnie lata problem z jej jawnie antykomunistyczną wymową. Jak pogodzić szacunek do generała Jaruzelskiego i uosabianej przez niego tradycji z szacunkiem wobec powstańców warszawskich, nie mówiąc już o żołnierzach wyklętych?

Skoro zaś tak trudno za „człowieka honoru” uznać jednocześnie generała Kiszczaka i tych, którzy walczyli o niepodległość Polski, najrozsądniejsza wydaje się strategia relatywizacji i amnezji.

Ukazywanie „ciemnych stron” powstania czy klimat ostentacyjnego lekceważenia wobec publicznych wyrazów szacunku dla bohaterów naszej wolności („zabiegi wokół Frankensteina”) doskonale odpowiadał logice tego projektu. Dziesiątki tysięcy ludzi, które wyszły na ulice Warszawy, tysiące, które nawet mimo deszczu czekają w kolejce do muzeum, to dowód na pęknięcie fundamentów tych założeń. I chodzi tu nie tylko o sentyment czy wdzięczność, ale o niezgodę na projekt schizofrenicznej tożsamości, którą proponowali twórcy III RP.

Manifestująca się z taką siłą potrzeba oddania sprawiedliwości bohaterom pokazuje, że projekt pojednania przez zamazanie nie wytrzymuje próby czasu, że publicznego forum nie daje się zbudować w izolacji od prawdy i sprawiedliwości. Poza tym – co niezwykle ważne – że wbrew rozpowszechnionym obawom ta zbiorowa afirmacja uosabianych przez powstańców wartości nikogo nie przekreśla i nikogo nie wyklucza – stając się rzeczywistym fundamentem możliwego pojednania.

Tekst pochodzi z książki Dariusza Karłowicza „Polska jako Jason Bourne”, wydanej nakładem Teologii Politycznej